

ze zbiorów J. Sikiery

Teresa Roszkowska

WSPOMNIENIE. W piątą rocznicę śmierci

Po Jej śmierci płakały wszystkie koty na Saskiej Kępie. Codziennie wybitna malarka Teresa Roszkowska kupowała 5 l mleka i 5 kg ryb. Przyrządzała, porcjowała i roznosiła bezpańskim zwierzętom. Założyła kilkanaście „stołówek”, do których przynosiła jedzenie bez względu na okoliczności. Ostatni posiłek dostarczała o 11 przed północą. Według Jej nocnych spacerów można było regulować zegarki.

Urodziła się 23 listopada 1904 r. w Kijowie. W 1926 r. rodzina osiadła we własnej willi przy ul. Obrońców 15. Ukończyła Konserwatorium Warszawskie w klasie fortepianu. Malarstwa uczyła się u Tadeusza Pruszkowskiego. Często bywała w Kazimierzu Dolnym, brała udział w legendarnych plenerach studentów Pruszkowskiego. Prawie wszyscy malarze Jej pokolenia potracili dorobek w czasie okupacji. Przedwojenne dzieła Roszkowskiej szczęśliwie ocalały w Londynie. Tuż przed wybuchem wojny wywiezione na wystawę, powróciły w latach 40.

Zawsze była ozdobą salonów. Wyróżniała się inteligencją, wielkim poczuciem humoru, urodą i indywidualnym stylem ubierania. Ten styl wydawał się czymś oczywistym, była przecież wrażliwą na kolor malarką. Wybitna scenografka jak mało kto znała tajniki kobiecego stroju. Do ostatnich dni bywała na wernisażach, o co skwapliwie za-

biegali organizatorzy. Obecność Roszkowskiej nobilitowała galerie, podnosiła temperaturę rozmów o sztuce.

Kiedy bliżej poznałem artystkę w 1989 r., oprowadziła mnie po swoim domu. Mieszkała samotnie pośród cennych antyków. Ich wysoką klasę najlepiej potwierdza fakt, że chciał je odkupić od Roszkowskiej wielki znawca sztuki, kolekcjoner Tadeusz Wierzejski. Wnętrze domu sprawiało niesamowite wrażenie. Zastygło w kształcie sprzed ponad 60 lat, w zniszczonej Warszawie było unikatem i z pewnością powinno być zachowane jako muzeum. Jedyny ślad wojny widoczny był w przedpokoju. Wisiało tam duże lustro, splekane od odłamka, który wpadł do środka. Przez blisko pół wieku z każdego spaceru artystka przynosiła jedno piórko i wtykała je w szczelinę w szkle. Powstała w ten sposób jedyna w swoim rodzaju kompozycja. To lustro, jak zegar, odmierzało czas. Gdybyśmy jako naród, tak samo jak literatów czcili również wybitnych malarzy, to lustro zdołoby dziś muzealne wnętrza. Wspomniała kamienicę przeznaczylśmy na Muzeum Literatury, zrekonstruowano tam pracownie poetów i pisarzy. Nie daliśmy takiej samej kamienicy malarzom i dlatego nie ma już lustra Teresy Roszkowskiej.

W położonej na poddaszu pracowni malarka pokazała mi swoje ostatnie płótna. Zachwylił mnie obraz przedstawiający kołędników z szopką, posiadający



wszystkie najlepsze cechy Jej sztuki. Artystka opowiedziała mi jego historię: „Jak w 1981 r. zaczął się stan wojenny, to wprowadzono godzinę milicyjną i nie wolno było wieczorem wychodzić z domu. Ja niczego nie zmieniłam, wychodziłam nocą, żeby porzucić kolację.

Raz wchodzę, jak zwykle, w ul. Gruzińską, a z przeciwka idą czterej mali chłopcy, niosą gwiazdę, szopkę i śpiewają kołędę. Tamten widok leżał w moich kioskach bardzo długo, aż w 1986 r. namalowałam tę scenę”.

Późnym wieczorem 25 października 1992 r. zbrodniarz zakradł się do willi przy Obrońców 15. Ślady na przedramionach wskazywały, że staruszka została skrepowana. Połamano Jej żebra i roztrzaskano głowę. W dniu, kiedy zamordowano Teresę Roszkowską, powinna już być w ukochanej Nicei, gdzie regularnie wyjeżdżała od kilkudziesięciu lat. Tym razem jednak nie znalazła nikogo, kto by Ją zastąpił i czasowo dokarmiał koty – tylko dlatego została w Warszawie.

Kiedy późnym wieczorem wracałem do domu, czasami spotykałem Teresę Roszkowską, wspólnie odwiedzaliśmy „stołówki”. Dziś ilekroć widzę na Saskiej Kępie sędziwego kota, pytam go: „Pamiętasz?”.

JANUSZ MILISZKIEWICZ